

LINDA
ZIELIŃSKA

Tęgo Ci nie powiem

dla•czemu

LINDA ZIELIŃSKA

Tego Ci nie powiem

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadząca: Marta Burzyńska

Redakcja i korekta językowa: Magdalena Białek

Projekt okładki: Izabela Starosta

Skład i łamanie: Izabela Starosta

Niektóre wydarzenia opisane w książce są prawdziwe, a inne powstały całkowicie w wyobraźni autorki. Które są które, pozostanie tajemnicą Lindy lub stanie się zagadką dla dociekliwych czytelników...

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2021

Wydanie I

ISBN: 978-83-66521-52-0

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

*Dla wszystkich, którzy wierzyli
we mnie bardziej niż ja sama.*

*Wszystko jest możliwe.
Niemożliwe wymaga po prostu więcej czasu.*

Dan Brown

1

Bzzzz... Bzzzz... Zawibrował mój telefon – mój pierwszy, najnowszy model czarnej nokii 1011, z czarno-białym ekranem. Z niechęcią przerwałam swój świeży układ taneczny, który ćwiczyłam w pokoju. Zawsze, kiedy rozpoczynała się jesienna szaruga, było to moje ulubione zajęcie. Nie wiedziałam, co to prawdziwa, piękna złota jesień. Musiałam sobie radzić z ogarniającym mnie przygnębieniem za pomocą tańca. Tym razem zdjęłam słuchawki walkmana, przerywając tym samym piosenkę ulubionego zespołu Backstreet Boys „We’ve got it goin’ on”.

– Kto śmie przerywać tak ważne sprawy, to się nie mieści w głowie – wkurzałam się pod nosem.

„Twoje życie w niedalekiej przyszłości ulegnie diametralnej zmianie. Nie zawsze rozsądek wygrywa w pojedynku z sercem. Spróbuj swojego szczęścia na loterii. Zwróć uwagę na wszelkie propozycje i złote interesy. Jeśli chcesz otrzymać dalszą część horoskopu, wyślij...”

– Dobrze sobie – zaśmiałam się w głos. – Szkoda tylko, że nie przesłali mi właściwych numerów. Naciągacze.

Co ciekawe, moja mama zawsze wierzyła w takie brednie. Oczyma wyobraźni widziałam, jak puszcza nasze oszczędności nie z dymem, ale z każdym kolejnym SMS-em. Razem z babcią, kiedy ta jeszcze żyła, stawiały taroty i inne bajery. Jakieś wróżenie z kart, linie życia na dłoni, serio? Znajdźcie mi naiwnego, który

to łyknie, a chyba mu zapłacę za logiczne wyjaśnienie i zmianę mojego wyobrażenia, aby chociaż trochę się do tego przekonać. Jaki to, co mam na dłoni, może mieć wpływ na to, co się wydarzy w przyszłości? No niczego mi się to nie trzyma. Wszechświat działa, czuwa nad nami, co za głupoty. A horoskop? Zdzierstwo, ale przyznam, że zdarza mi się czytywać... Tak po prostu, z ciekawości. Chociaż nigdy mi si nic nie sprawdziło. Jednak zawsze to, co jest zawarte w takim horoskopie, dziwnym trafem pasuje do danej sytuacji albo inaczej – człowiek czuje się tak zmanipulowany, że sam sobie dopasowuje treści do życia. Może sama zacznę pisać? W sumie każdy potrafi tworzyć bajki. Ale proszę, szanujmy się – nawet jako nastolatka miałam swój rozum, miałam już prawie osiemnaście lat.

Moje rozmyślanie przerwał dzwonek do drzwi, więc szybko pobiegłam na dół.

– No nareszcie! Ile można czekać! – krzyknęłam do przyjaciółki.

– Jak zawsze u ciebie można liczyć na miłe powitanie – rzekła zrezygnowanym tonem Kasia. Ale jak zwykle były to chwilowe dąsy, gdyż zaraz na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Kasia tego dnia ubrała się jak na Syberię: sweter, botki, szal i kurtka. Całe szczęście, że nie padał deszcz, bo pewnie przywdziałyby jeszcze przeciwdeszczowe palto, niczym Miś Paddington. Nie myśl jednak, że w myślach naśmiewałam się z przyjaciółki, ale znałyśmy się jak łyse konie, a ona czasami miała problem z dostosowaniem stroju do pogody.

– Mamo, wychodzimy! – krzyknęłam.

Odpowiedziała mi głucha cisza.

Mama była w domu, ale jak zawsze pochłonięta swoimi zajęciami. U nas, w Kałudze, żyło się, nie ukrywajmy – ciężko. Rosja to po trosze stan umysłu i nie ma co owijać w bawełnę

i mówić, że było inaczej. Każdy łapał się zajęć, jakich się dało, aby zdobyć grosz. Jeżeli mam być dokładna, to nie grosz, a kopiejkę. Patrząc na polski przelicznik, to większość Polaków byłaby wówczas, gdy dzieje się historia, którą Ci opowiem, tutaj milionerami, ale to tak nie działało. Niestety. Mogę powiedzieć, że nam trochę się poszczęściło. Ojciec był dobrze postawiony, co pomagało nam przeżyć i żyć w godnych warunkach. Jednak nie każdy urodził się w dobrej rodzinie i miał takiego farta. Nie będę smęcić, jeszcze o tym później wspomnę.

Codziennie po szkole spotykałam się razem z Kasią i resztą bandy – mogę stwierdzić, że byliśmy dziećmi podwórka. Dorastałam w latach dziewięćdziesiątych, więc teoretycznie obce były nam tematy telefonów komórkowych – ja miałam, bo ojciec... Porządny człowiek, pedant, musiał wiedzieć, gdzie jestem, z kim, po co i o której wróć. Zachowywał się trochę jak terażniejsza wersja aplikacji „Gdzie jest moje dziecko?”. Serio. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego i inne aktualne Centralne Biura Śledcze razem wzięte mogły się przy nim schować. Nie miał sobie równych. To chyba w miarę normalne zjawisko dla każdego ojca, że martwi się o swoją córeczkę, budząc jednocześnie jej niezadowolenie z tego, że jest szpiegowana.

Skoro mowa o mnie, to urodziłam się w 1979 roku. Pięknych czasach, kiedy nie wiedziałam, co to jest Facebook. W sumie nadal nie wiem, bo kompletnie mnie to nie interesuje. Szkoda mi na to czasu. Żyłam tym, co było tu i teraz. Nierealne? Ależ owszem, dobrze mi z tym było. Miałam znajomych, rodzinę, byłam spokojniejsza, że nie wiedziałam, co w dużym stopniu dzieje się chociażby w polityce. Myślisz sobie, że byłam zacofana? Nie sądzę. Telewizor? Zjawisko sporadyczne. Większą wartość miały dla mnie kolorowe karteczki, którymi się wymieniałam

i często chętnie przehandlowałabym połowę swojej rodziny za taką perełkę, której nie miałam w kolekcji. A uwierz mi, że czasami zdarzały się cuda, które były tego warte. Pewnie nie wiesz, o czym mówię, ale tym samym nie wiesz, co straciłeś! Mieszkaliśmy z rodzicami w domku po dziadkach, ale większość moich znajomych zajmowała mieszkania, a właściwie klatki w blokach, które były nazywane Kombinatami Państwowych Gospodarstw Rolnych (KPGR). Budownictwo rosyjskie nigdy nie było odpowiednio rozwinięte i po latach widzę, że niewiele się w tej kwestii zmieniło. Ludzie budowali, byle budować, a rzeczywiste potrzeby mieszkańców nie miały żadnego znaczenia. Jednak nie wiem, czy nie zamieniłabym się na taką klatkę, zyskując klimat panujący w blokach. Mówiliśmy na nie „pudełka”, bo wyglądały dosłownie jak kartonowe klocki z wyciętymi otworami na okna i drzwi. O takim luksusie jak balkon można było zapomnieć

W pudełkach wszyscy się znali. Sąsiedzi byli jak rodzina. Takiego klimatu nie da się oddać. Tego nie było na osiedlu domków. Tutaj żyły paniska, które czekały na twoje „dzień dobry”, inaczej szła skarga do rodziców. Zawsze mnie to śmieszyło. Ludzie ci myśleli o sobie, że są ponad wszystkimi i że wszystko się im należy.

A pudełka? Pudełka to inna bajka. Sami swoi. Dzieciaki były dla mnie jak rodzeństwo, bo patrząc na mojego starszego brata, chętnie bym go zamieniła. Dlatego częściej przebywałam z dala od swojego domu. Każdego dnia po szkole szłyśmy z Kasią na osiedle i bawiłyśmy się na dworze do późnych godzin. Do tej pory czuję zapach tego powietrza. Późnym latem – lekko zgniła wilgoć. Jesienią natomiast – lekko zgniłe liście. Kiedy po tych ponurych dniach wschodziło słońce, rzucało piękny miedziany kolor na otulone resztkami liści pudełka. A po deszczu, którego

nie lubię (jedynie kiedy przebywam w domu jest do zniesienia), w powietrzu unosił się zapach wolności. Wtedy były na topie ortalionowe dresy! Szelesty. No przecież bez tego nie było mowy o wyjściu. Miałam, pamiętam, różowy z białymi wstawkami, co to był za szal na dzieln! Każdy zresztą taki posiadał, to był ówczesny *must have*! A jakie były wygodne! Do wspinania się po drzewach idealne.

Oprócz mnie i Kasi nikt nie miał telefonu komórkowego, ale doprawdy, po co komu to ustrojstwo? Odpowiedz sobie na pytanie: ile czasu poświęcasz na siedzenie przed tym małym ekranikiem? Poświęcasz, to właściwie złe słowo – marnujesz. Już wiesz? No właśnie. My doskonale wiedzieliśmy, jak się znaleźć, i nie potrzebowaliśmy do tego wspomagaczy. Umawialiśmy się przy trzepaku o danej godzinie i to było święto. Każdy wiedział, co ma robić.

A komputer? Zapomnij. Raz, że mało kogo było na niego stać, a dwa – nie było na to zwyczajnie czasu. Atrakcji nie brakowało. Wyobraźnia przecież nie ma granic. Często jeździliśmy na rowerach nad sztuczny zbiornik, który znajdował się w okolicy. Były wspinaczki po drzewach, zwisy z trzepaków i cała masa innych spontanicznych pomysłów na spędzenie czasu.

Tego dnia tradycyjnie wybrałyśmy się na pudełka.

– Co ty jesteś taka jakaś podkrecona dzisiaj? W szkole byłaś nieobecna, teraz milczysz. Do ciebie to raczej niepodobne – wyrzuciła z siebie Kasia.

Dodam, że nigdy nie owijała w bawełnę i zawsze mówiła to, co przychodziło jej do głowy, albo raczej, co ślina przyniosła jej na język. Czasami miała tym językiem na prawo i lewo, ale doprawdy uwielbiałam ją. Mieszkałyśmy od najmłodszych lat koło siebie. Nasi rodzice również mieli bardzo dobry kontakt.

Znałyśmy się jak przysłowiowe łyse konie, taka przyjaciółka to złoto. Teraz to się mówi najlepsza psiapsi? Coś słyszałam też, że jest takie słowo jak friendsiółka? Coś w ten desień.

Czasami miało to swoje plusy, czasami minusy. Kiedy ktoś zna cię na wylot, można powiedzieć, że zna twój następny krok. Kiedy zaczynasz postępować inaczej i się buntujesz, pojawia się wielkie zdziwienie. Oby nie rozczarowanie. Kasia jednak potrafiła sprowadzić mnie na ziemię, kiedy popełniałam głupoty. Zdarzało jej się również obserwować moje poczynania po to, aby sprawdzić, do jakiego momentu się posunę, a następnie mnie przyhamować. Bardzo to w niej ceniłam.

– No halo! Ziemia do Marsa. Zakochałaś się czy co? – po-
nagłała mnie Kasia i podejrzliwie mi się przyglądała.

– Oszalałaś?! Nie może człowiek mieć gorszego dnia? Od
razu wielkie halo. Jeszcze na głowę nie upadłam, żeby się za-
kochać. Po co mi to? – syknęłam.

– No jak to, po co? Żeby mieć męża, dzieci i być szczęśliwą
kurą domową! – zaśmiewała się do rozpuku moja najlepsza
koleżanka.

Wiedziała, jaki mam stosunek do chłopaków, związków
i dzieci. Nigdy w życiu. Pęto na głowę mi niepotrzebne. Te
wszystkie motyle w brzuchu, maślane oczy.

Przecież facet to same problemy, a ja ich nie szukałam. Wy-
daje mi się, że oni zresztą myśleli podobnie, a mi to pasowało.
Niech się jak najdalej ode mnie trzymają, jako kumple zdecy-
dowanie mi wystarczali.

– Dowcipna dzisiaj jesteś. Prawda jest taka, że nie mogę
się dogadać z mamą. A właściwie z rodzicami. Jak wiadomo,
kiedy oboje są przeciwko tobie, zaczyna się piekło – rzekłam,
przewracając oczami i kręcąc nosem.

– Ale o co dokładnie chodzi? Zlituj się nade mną, bo mam wrażenie, że złamanie kodu Enigmy było prostsze od rozmowy z tobą dzisiaj – drążyła Kasia, lekko się niecierpliwiąc.

– Chodzi o to, żeby nie wpaść w błoto. Chcę chodzić na balet. Chcę być baletnicą! – wykrzyczałam z entuzjazmem.

– Noo, to chyba przybiję piątkę twoim rodzicom. Upadłaś z trzepaka na głowę?! Skąd taki pomysł? – zszokowała się i nawet podniosła głos ze zdziwienia.

– Mimo że oglądam mało telewizji, bo tata broni i nie mam czasu, w niedzielę siedziałam z Igorem i podziwialiśmy „Jezioro Łabędzie”. Przecież to jest majstersztyk. Coś pięknego! Te ruchy, te kostiumy. Chcę spróbować, a dobrze wiesz, że mam wyuczucie rytmu, lubię ćwiczyć i gimnastyka to moje drugie imię.

– Powiem ci, że wiesz, jak człowieka zaskoczyć. Tutaj plakaty Backstreet Boys, a tu zaraz wyskakujesz z baletem. No, jedyne o co bym cię nie mogła posądzić, to pójście w balet! – Na ustach Kasi zawitał złowieszczy uśmieszek. – I może jeszcze zakon!

– Zadziwiające, no nie? Jak to człowiek potrafi kogoś zaskoczyć. Ja tutaj się biję z myślami, co mam robić i jak przekonać do swojego pomysłu rodziców, a ty się ze mnie nabijasz. Zakon, wiadomo, odpada.

– Nie nabijam, ale chyba przechodzicie z bratem przemianę wewnętrzną, on też chce być tym czarnym łabędziem? – nie odpuszczała w swych zaczepkach Kasia.

– Wiesz, co? Goń się! – Po czym obie wybuchłyśmy niekontrolowanym śmiechem. Chyba to samo nam przeszło przez myśl: mój brat w tiulu.

Spojrzałyśmy na siebie rozbawione i ruszyłyśmy zwawszym krokiem do naszego celu. Zrywał się silny, jesienny wiatr. W powietrzu dało się wyczuć zmieniającą się pogodę i zbliżającą

wielkimi krokami rosyjską zimę. Zaczynałam rozumieć, dlaczego Kasia ubrała się tak, a nie inaczej. Chociaż raz jej się udało trafić odpowiednio do pogody.

Jak zawsze na miejscu czekała już na nas rozbawiona horda naszych koleżanek, czyli: Zocha, Marchewa i Pietrucha. Można powiedzieć, że połowa warzywniaka, ale nic bardziej mylnego, każda ksywa miała jakiś nieco głębszy podtekst. Zocha – wiadomo, od Zosi, złota dziewczyna, do rany przyłóż, spokojna niczym kwiat lotosu. Nie wiem, czy ktoś kiedyś byłby w stanie wyprowadzić ją z równowagi. Chyba że zaczęłyby pracować na co dzień z ludźmi – wtedy byłaby taka szansa, że ta oaza spokoju wybuchnie. Marchewa – bo Marchwińska, wiadomo, a do tego latem po długich godzinach przebywania na słońcu włosy robiły jej się lekko rude. Zawsze się śmiałam, że tak długo przyjmowała te promienie słoneczne, że aż zdążyła zardzewieć! Poza tym lekka wariatka, totalne przeciwieństwo Zochy. Jeżeli ktoś miał wpaść na jakiś szalony pomysł, to właśnie ona! Nieokielznany był jej charakter. Została nam jeszcze Pietrucha – bo Pietrzak. Trzymała całą naszą paczkę w ryzach, taki trochę balsam na moje czasami zszargane nerwy. Powiedziałabym, że całą ekipą bardzo dobrze się uzupełniałyśmy. Wiedziałyśmy, kiedy, kto i jak się zachowa. Takie trochę wróżki.

Plan był taki: gramy w gumę! Już Ci, Czytelniku, wyjaśniam, o co chodzi, bo coś mi się wydaje, że teraz się w to nie bawicie, mam rację? Śmiało, kiwnij głową. Jak nie wierzysz, to wpisz w te Wasze jutuby i się przekonaj, że nie ściemniam! Kiedyś tak się dzieciaki bawiły.

Zatem: gra w gumę lub skakankę znana naszemu pokoleniu, zarówno dziewczynkom, jak i chłopcom. Były polskie, dziesiątki, trójki, kokarda – technikom skakania nie było dosłownie końca!

Czasami ktoś wymyślił jakąś inną kombinację, metodę, to była furora. Skakaliśmy, gdzie się dało – w szkole na przerwach odstawialiśmy szybkie akcje, żeby tylko zdążyć chociaż raz zagrać. Dlatego bardzo często nie jadałam śniadania... i przynosiłam z powrotem do domu, żeby od mamy dostać bęcki, że marnuję jedzenie. Pod blokami, to już norma, guma po prostu musiała być! Często też zdarzało nam się organizować zawody, dzięki czemu była okazja do poznania dzieciaków z innych dzielnic czy klatek w bloku. Co to była za radość! Nie do opisanía. Przy okazji kondycja się wyrabiała, nie ma co! Haha, nie to co teraz, siłki i inne bajery. Zadyszki nie miało żadne z nas. Zdarzało nam się grać nawet zimą. I to na klatce schodowej, skąd często stara Muminowa nas przeganiała – zachowywała się, jakby nigdy nie była młoda i zdecydowanie nie wiedziała, co to jest życie na krawędzi. Kiedy z Kaśką nie mogłyśmy znaleźć sobie trzeciej osoby do trzymania gumy, przywiązywałyśmy ją do kaloryfera czy innej poręczy. Jakoś w końcu trzeba sobie radzić, prawda? Zaradność nastolatek przede wszystkim!

Często wjeżdżała też skakanka, co to była za radocha! Żaba, lajkonik, krzyżak. Do dzisiaj słyszę: „Oj, oj, topię się. A ty, Kaśka, ratuj mnie...”. Do wyboru, do koloru było tych wszystkich rodzajów. A jaką siarą była skucha! No to było często zabawne. Skucha, czyli moment, w którym ktoś skusił... Prościej – zahaczył nogą o skakanke, potknął się, wywinął przysłowiowego orła – cyk i leżysz. Skoro już o tym wspominam, przyznam się bez bicia, że jak miałam dobrą passę, to wymiatałam. Jednak kiedy przychodził gorszy moment, łapałam skuchę za skuchą! Jak taka totalna sierota! Nie będę zaprzeczać, że często mnie to bardzo dołowało, że nic mi nie wychodzi. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że wtedy z odsieczą przybywały moje

koleżanki, które w roli psychologów spisywały się cudnie. Mówię Ci, zabawa była przednia. Tak właśnie spędzałyśmy z dziewczynami bardzo często wolny czas.

Guma – właśnie taki był plan tego dnia. Pogoda nie była nam straszna.

Marchewa na powitanie spojrzała na mnie spode łba, ale nic jeszcze nie powiedziała. Widać było, że chce nam o czymś powiedzieć, jednak miotają nią obawy. Nalała nam po kubku czerwonej oranżady, która była naszym ulubionym piciem, a Marchewa zawsze na spotkanie przynosiła trzy butelki i rozlewała dla każdego po równo w plastikowe kubki. Dodała sobie chyba otuchy tym siłodajnym napojem, bo wreszcie wyrzuciła, co jej na sercu leżało.

2

Zwariowałaś?! Przecież miałyśmy dzisiaj grać w gumę? To nasz rytuał – wychrypiałam przejętym głosem i prawie zaczęłam skakać z podekscytowania i emocji.

– Nie złość się na mnie, ale mój brat mnie prosił, abyśmy wpadły nad rzekę i pograły z nimi w chowanego albo podchody. No sama przyznaj, że to genialny pomysł i brzmi super! Jeszcze nigdy nie grałyśmy w nic z chłopakami. Dodatkowo o tej porze roku w parku jest cała masa liści i może będziesz miała okazję w nich zanurkować. Albo taka bitwa na liście? – zaśmiała się szyderczo Marchewa.

Pokręciłam zrezygnowana głową. Nie byłam specjalnie chętna do nawiązywania znajomości z chłopakami, a tym bardziej znajomymi Wiktora, czyli brata Marchewy. Był od nas o pięć lat starszy i żył kompletnie innym życiem niż my – żeby nie powiedzieć: żył w innym świecie albo nawet innej galaktyce. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego chciał się zadawać z takimi małolętami jak my. Jedynym powodem mogła być tylko chęć pograżenia nas. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Kasia przejęła stery.

– Ja uważam, że to całkiem spoko. Nad rzekę mamy chwilę drogi stąd. Zdążymy wrócić, zanim zrobi się całkiem ciemno, a zabawa może być przednia! A nurkowanie w liściach chyba mnie do tego dodatkowo przekonuje. Poza tym, moja droga Natalio, rytuały i przyzwyczajenia trzeba łamać! Nie możemy

robić wiecznie tego samego i być przewidywalne. Życie zaskakuje nas, to od czasu do czasu my zaskoczmy życie!

Reszta dziewczyn zawtórowała Kasi, więc mimo szczerej niechęci, zostałam przegłosowana. Jak wiadomo, w takich sytuacjach nie można się wyłamywać. Wysłałabym na straszego cieniasa i prędzej czy później któraś wypomniałaby mi mojego cykora. Dodatkowo brak chęci do działania na bank zemściłby się na mnie. Postanowiłam podkulić ogon i ruszyliśmy zatem w stronę rzeki Oka.

Pogoda, muszę przyznać, zmieniła się diametralnie. Wczesniejsza plucha została przegoniona przez słońce, delikatny wietrzyk nie przypominał tego jesiennego i zimnego, a do tego nie było żadnego obłoczka na niebie. Wyglądając za okno, można było powiedzieć, że to wręcz wiosna!

W Rosji w końcu wielkimi krokami zbliżały się upragnione wakacje. Koniec roku szkolnego to coś, na co każdy uczeń czekał i do czego odliczał czas. Nie skłamię, jeśli powiem, że skreślałam na czerwono dni w kalendarzu. To w końcu wielkie wydarzenie! Tyle wolności. Fakt, że było nieco inaczej niż w innych krajach świata i mieliśmy wakacje o innej porze roku, i trwały one nie dwa miesiące, jak chociażby w Polsce, ale aż trzy.

Jedynym minusem była pogoda, która nie była taka jak w miesiącach letnich – najczęściej panowały gigantyczne mrozy i śnieżyce. Wakacje jesienią oraz zimą miały jednak też swoje plusy. Można było spokojnie posiedzieć pod kocem w domu i poczytać książkę, sączyć do woli ciepłą herbatę. Minusem było to, że rzadziej widzieliśmy się z naszą paczką, w grę wchodziły jedynie domowe schadzki, o tych na świeżym powietrzu trzeba było marzyć aż do mojej ukochanej wiosny.

Po piętnastu minutach dzikiego rehotu i wspominek śmiesznych sytuacji, dotarliśmy w umówione miejsce. Chłopaków nigdzie nie było widać. Co było bardzo podejrzanе, bo to nie było tak, jak jest teraz, że się z kimś umawiasz i ktoś albo cię olewa, albo pisze SMS-a, że się spóźni. Słowo to słowo, na wagę złota i wiążące przede wszystkim. Jak coś powiedziałeś, to już było święte. Szkoda, że teraz nie zawsze tak to działa.

Przeszliśmy się trochę brzegiem rzeki i weszliśmy do pobliskiego parku, żeby schronić się przed ostrym, oślepiającym, jesiennym słońcem.

W pewnym momencie, kiedy zdołaliśmy przycupnąć na pobliskich, wilgotnych konarach drzew, wyskoczył na linie niczym małpa brat Marchewy, czyli Wiktor. Wydawał z siebie okrzyki, jak człowiek puszczy albo jakiś dzikus – akurat niewiele się różnił. Wszystkie podskoczyliśmy jak poparzone, do tego stopnia się wystraszyliśmy, że wpadałyśmy jedna na drugą.

– Czy ty do końca oszalałeś?! – wykrzyczałam, próbując się uspokoić. Nogi trzęsły mi się jak galareta.

Trzeba przyznać, że rodzeństwo Marchwińskich, miało bardzo... dzikie i szalone pomysły. Jedno i drugie doprowadziło mnie jednego dnia do stanu przedzawałowego, a co w tym wszystkim było najlepsze, dla nich były to całkiem normalne zachowania, takie na porządku dziennym. Nie wiem doprawdy i chyba nawet wolę nie wiedzieć, co działo się u nich w domu.

– Hahaha! Ale miałyście miny! Jakbyście ducha zobaczyły! Również się cieszę, że was widzę. Dziękuję, Nat, za miłe powitanie! – wyśmiał mnie dumny z siebie Wiktor i bił się po klatce niczym dziki szympan.

– Fantastycznie, chociaż ktoś tutaj jest zadowolony. Gdzie są twoi towarzysze niedoli? – zapytałam z przekąsem.

– Przebrali się za krzaki, bo chcieli się przed wami zamaskować i wyskoczyć w najmniej oczekiwanym momencie, ale widzę, że chyba nie bawią was takie żarty. Więc... Chłopaki! Wychodźcie! – krzyknął w stronę parku.

I wyłoniło się czterech nieszczęśników, każdy miał poprzyczepiane gałęzie i liście powtykane, gdzie się dało. Zamaskowanie niemal profesjonalne. W sumie lepiej wyszliby na tym, gdyby po prostu rzucili się w te sterty leżących na ziemi liści – no, ale nie wymagajmy od nich zbyt wiele.

Marchewa pogratulowała swojemu bratu kreatywności oraz durnych pomysłów.

– Jesteś starszy ode mnie, a głupszy... – skwitowała.

– Jesteście spięte jak guma w majtkach! Poluzujcie trochę, bo się nie dogadamy, a w końcu mamy dzisiaj plan na zabawę w podchody w tym oto pięknym parku. – Witek wskazał ręką na park. Był jednym z kolegów Wiktora z klasy i był tak samo pomysłowy jak główny sprawca zamieszania.

– Dobra już, dobra! – Pietrucha wzięła sprawy w swoje ręce. – Zaczynajmy, bo się ciemno robi, zanim podejmiecie jakąś męską decyzję.

– Ohoho, koleżanka nam się rozkręca, to mi się podoba! – Wiktor klasnął, a na jego twarzy pojawił się uśmiech od ucha do ucha. – Zatem wyjaśnię reguły gry, żeby każdy wiedział na tip-top, o co chodzi, i się przypadkiem nie zgubił. Co nie, blondi? – rzucił, wskazując na mnie.

– Daruj sobie. – Pokazałam mu język.

– Dobrze, zatem mamy tutaj do czynienia, jak się okazuje i czym zapewne wszystkich zaskoczę, z grą terenową, stosunkowo prostą. Ale czy tak będzie faktycznie, to się okaże, wyjdzie w praniu. – Mrugnął do mnie okiem. – Mamy dwie grupy,

tutaj bez wątpliwości odbędziemy wojnę płci, czyli my przeciwko płci pięknej. Będziecie miały okazję pokazać, na co was stać i jaka z was silna płeć. Jedna grupa ucieka, druga goni. Grupa, która goni, wyrusza po odliczeniu do stu. Głośno, aby druga mogła was słyszeć. Zadanie polega na odnalezieniu i rozwiązaniu wszystkich dziesięciu zagadek, zadań pozostawionych przez grupę uciekającą. Grupa uciekająca, czyli my – wskazał na chłopaków – wygrywamy, jeśli zdążymy pozostawić wszystkie zadania, a wy ich nie rozwiążecie. Natomiast jest też możliwość waszej wygranej, czyli grupy goniącej, was, drogie dziewczęta. Jeśli zdołacie nas złapać przed dotarciem do określonego celu. Jednak najpierw musicie rozwiązać wszystkie zostawione zadania... – Wiktor zawiesił głos, a palczkę w tłumaczeniu przejął Witek.

– Będziemy wam zostawiać strzałki z gałęzi, kamieni i co nam jeszcze wpadnie pod ręce. Jako że jesteśmy fantastycznie przygotowani i przyszliśmy tu tylko po jedno: żeby wygrać, mamy też blok rysunkowy, żeby zostawić wam zadania na kartkach, długopisy i sznurki.

– Po co wam sznurki? – zapytała zdziwiona Zocha.

– Żeby brać jeńców! Hahaha. – Wiktor rozbawiony swym suchym żartem aż złożył się wpół ze śmiechu. – A tak na prawdę, to mamy plan, żeby przywiązać wam jakieś zadanka na przykład do drzewa, ławki czy do latarni. W końcu jesteśmy w parku, więc niech się na coś ta natura przyda.

– Dobrze, czy dla wszystkich jest wszystko jasne? Możemy zaczynać? – zapytał Witek tonem dowódcy.

– Taaaaak! – krzyknęliśmy wszyscy chórem.

– Skoro zasady są jasne, wy liczycie do stu. Tylko głośno! A my stąd spadamy. Za cel naszej ucieczki uznajmy sklep przy

Górkach. Jest trochę oddalony, ale nie może być zbyt prosto. Gotowi? No to... Czas start!

Jeden z drugim rzędzili się, jakby od tego zadania zależało ich być albo nie być. I chyba faktycznie traktowali tę zabawę naprawdę poważnie. Ruszyli bardzo szybkim tempem, raz po raz odwracając się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie oszukujemy. Tak w nas wierzą!

– Raz...! Dwa...! Trzy...! – zaczęłam głośno liczyć.

– Chodźcie, będziemy szły powolnym krokiem w ich stronę, tak żeby nas nie zauważyli. Tak wiecie, z przyczajenia, gdzieś zza krzaka, a w ten sposób szybciej ich dogonimy i być może nawet uda nam się wygrać! – rzuciła konspiracyjnie Kaśka i w sumie bardzo spodobał mi się ten pomysł z małym oszustwem albo raczej potraktowaniem tych narzuconych nam zasad z przymrużeniem oka.

I tak byli za mało bystrzy, żeby to zauważyć. No i co równie istotne, to samce. A jak samiec sobie coś weźmie za zadanie, to wyłącza się z pozostałego życia i totalnie nie wie, co się dzieje w otoczeniu.

– Nie ma szans, żeby z nimi wygrać – rzekła zrezygnowana Pietrucha.

– Jeszcze dobrze nie zaczęłyśmy, a ty już wiesz, że przegramy. Nie, no nic tylko pogratulować! Nie ma to jak pozytywne podejście i motywacja do działania – odrzekła nieco zirytowana Kaśka.

– Mam, znalazłam! – krzyknęła Zocha. – Pierwsza koperta, oczywiście zaklejona, żeby nam utrudnić zadanie.

– Czytaj! – rzuciłyśmy wszystkie w jednym momencie.

– W kopercie znajdziesz kredki do malowania twarzy. Pomaluj pozostałe koleżanki, dorysowując im piegi, okulary lub wąsy.

– W pytę! Zadanie mistrzostwo świata! Takie właśnie na ich poziomie. Na bank wymyślił to Wiktor – prychnęła Marchewa.

Zocha przystąpiła do dzieła. W końcu cała nadzieja tego świata w twardych kobietach. Nie miałyśmy zamiaru się poddać. Mimo początkowych wątpliwości Pietruchy. Po chwili nasze twarze wyglądały bardzo zabawnie, w końcu robiły za płótno artystki Zochy. Majstersztyk, jak nas zobaczą, to padną z wrażenia.

Wykonywałyśmy kolejne zadania w ekspresowym tempie, a to i tak mało powiedziane. Szło nam rewelacyjnie! Deptaliśmy chłopakom po piętach i nie dało się ukryć, że musieli czuć nasz oddech na swoich plecach. Wszystko szło, uznalabym, że perfekcyjnie, aż do pewnego momentu...

3

Przebywałam w domu, wykonując drobne robótki krawieckie, w których się lubowałam, zlecone mi przez sąsiadów, kiedy zadzwonił telefon. Nie zdarzało się to zbyt często, jednak nie wstałam, aby go odebrać – z myślą, że mój mąż Edward jest w pobliżu. Niestety, jak się okazało, było to błędne myślenie. Telefon za chwilę zadzwonił ponownie. Tym razem wstałam z impetem i szarpnęłam za słuchawkę, prawie wyrwijając ją z kabla. Zła, że mój mąż nie garnie się do tak prostej czynności, jaką jest odebranie telefonu.

– Tak, słucham? – zapytałam lekko zirytowanym i podniesionym głosem.

– Tutaj Kasia, dzwonię z telefonu Natalii. Wiem, że chciała pani popracować dzisiaj i nie chciałyśmy przeszkadzać, jednak mamy z dziewczynami mały problem...

Głos koleżanki Nat zawierał w sobie nutkę zniecierpliwienia i rozedrgania. Od razu wiedziałam, że nie był to zwykły telefon na pogawędki.

– Matko! Coś się stało? Tak czułam, że coś jest nie tak! Dlaczego Natalia nie dzwoni?! Jesteście całe? Mów szybko! – wyrzuciłam z siebie na jednym wydechu cały arsenał pytań, których Kasia i tak pewnie nie odnotowała.

– Żyjemy, pani Aleksandrowno, proszę się aż tak nie denerwować. Wybrałyśmy się nad rzekę, tak jak nas prosił brat Marchewy,

a trochę też same chcieliśmy, i Nat coś pogryzło. Nie wiem, ma chyba uczulenie na komary czy jakąś inną zarazę, bo jest cała spuchnięta i mówi, że strasznie ją wszystko swędzi. Wydaje mi się, że ma jakąś alergię...

Kiedy usłyszałam to, co powiedziała mi przed chwilą Kasia, poczułam, że robi mi się słabo. Mój zapał do pracy zniknął w ułamku sekundy. Konieczna była tutaj szybka reakcja, przecież musieliśmy pędzić z Edwardem i ratować nasze dziecko! Praca zdecydowanie mogła poczekać, dziecko było ważniejsze. Mój matczyzny instynkt dosłownie oszalał.

– Gdzie dokładnie jesteście? – wychrypiałam cichutkim z przejęcia głosem. – Zaraz po was jedziemy.

– Nad rzeką, w pobliżu sklepu. Nie wiem dokładnie, ale jest tutaj niedaleko mostek, przewrócone na rzekę drzewo, jakaś wysoka górka, ławki i plac zabaw. Wie pani, gdzie to?

Pokiwałam sama do siebie głową, łapiąc się na tym, że przecież Kasia mnie nie widzi.

– Tak, wiem. Za moment wsiadamy do samochodu, jedziemy po was, a potem na pogotowie – wyrzuciłam z siebie. – Jesteśmy w kontakcie, gdyby coś się działo, dzwoń proszę na komórkę mojego męża, będzie ją miał przy sobie.

– Jednak to jeszcze nie wszystko – kontynuowała Kasia. – W momencie kiedy próbowałyśmy jakoś walczyć z tymi owadami, to wpadłyśmy obie do rzeki.

– Matko Boska...

– Nie, niech się pani nie martwi. Spokojnie. Jesteśmy obie w jednym kawałku. Prosiłabym tylko, aby zabrała nam pani jakieś koce czy ręczniki i ciuchy na przebranie, bo trochę jesteśmy mokre. Pogoda niestety nie jest już letnia i trochę nam zimno, a zaczyna zmierzchać. Czy mogłabym o to prosić?